

Aktorstwo — krainą wiecznego dzieciństwa

Z Marianem Opanią rozmawia Grażyna Anna Wilson

MARIAN OPANIA, jeden z czołowych aktorów polskich, po raz kolejny zaprezentował się londyńskiej publiczności, tym razem w „Kabarecie Tuwima” Teatru Ateneum z Warszawy. O samym przedstawieniu dosyć dużo pisano na łamach „Tygodnia Polskiego”. Tym razem spotkajmy się z jednym z aktorów, aby w ten sposób dowiedzieć się co nieco o spojrzeniu polskich artystów na emigrację i o sytuacji teatru w Polsce.

Marian Opania, z wyjątkiem grania w wielu rolach Teatru Ateneum (sztukach Marlowe'a, Szekspira, Dostojewskiego, Grochowiaka, Gombrowicza i wielu innych), ma na swoim koncie role w sztukach teatru TV i około 90 ról filmowych (w tym nagrodzone w *Palcu Bożym* Antoniego Klauzgo i w *Człowieku z żelaza* Andrzeja Wajdy). Jest on niewątpliwie ciekawą postacią polskiej sceny, która w pewnym stopniu przyczyniła się do rozwoju naszej kultury zarówno w Kraju jak i poza jego granicami.

Po premierowym spektaklu „Kabaretu Tuwima” w Teatrze POSK-u, udało mi się zająć z Marianem Opanią parę słów.

Jakie pierwsze wrażenia po spotkaniu?

Ponieważ jestem stałym bywalcem emigracyjnych środowisk, mam możliwość porównania poziomu intelektualnego środowisk polonijnych i nie umniejszając może Polonii niemieckiej czy amerykańskiej, muszę z przykrością stwierdzić, że ma nieco mniejsze zapotrzebowanie i słabszy gust artystyczny niż Polonia angielska czy szwajcarska. To się widzi. Tu możemy śmiało przyjeżdżać z ambitniejszymi programami. Do Niemiec, na przykład, nigdy nie ośmielilibyśmy się pojechać z „Zemstą”, z którą byliśmy w Stanach. Mimo że jest to wspaniała komedia, to nawet w Stanach odbiór był słaby. Nie jest to wprawdzie trudna literatura, ale prawdziwy teatr. Tutejsza publiczność jest inna, bardziej wymagająca, wychwyty wszystko to, co jest mierne.

A proszę powiedzieć jak się Pan czuł w swojej dzisiejszej roli. Ostatnio kiedy Pana widziałam był Pan trochę szczuplejszy, ale dzisiaj podziwiałam Pana za tę lekkość, dynamiczność ruchów i grację.

Ja jestem do tej pory bardzo wysportowany, bo kiedyś uprawiałem wyczynowo sport, stąd ta niby lekkość. Jest to niby lekkość, bo tańczyć, śpiewać i skakać jednocześnie jest bardzo trudno, zachowując przy tym odpowiednią dykcję.

A co Pan, jako wykonawca, sądzi o tym spektaklu? Czy jest coś, co można by zmienić? Czy ma

Pan jakieś krytyczne uwagi dotyczące tego spektaklu?

Tak, szczególnie do pierwszej części, która jest przeładowana rzeczami banalnymi.

Tuwim pisał chyba nie po to, żeby wystawiało się go później na scenie w formie piosenki, prawda?

Ja myślę, że my zbyt często ubieramy Tuwima w wieniec laurów i określamy go nieomal jak wieszczę narodowego. A szary człowiek nie wie o jego twórczości i lepiej, kabaretowej. Wydaje mi się, że pierwsza część dla przeciętnego widza jest momentami nudna. Pewne rzeczy z drugiej części przełożyłbym do pierwszej lub zupełnie zlikwidował. I to będziemy chyba wkrótce robić na wyjazd do Stanów, bo tamta publiczność jest jak gdyby mniej wyrobiona i się znudzi pierwszą częścią.

Przed chwilą ktoś poprosił Pana o autograf. Czy po tylu latach pracy w swoim zawodzie rozdawanie autografów nadal sprawia Panu przyjemność, bo na pewno na początku było to frajdą?

Nie zawsze lubię rozdawać autografy, ponieważ nie lubię brylować, staram się stać na uboczu. Bardzo mnie męczy brak prywatności w moim życiu. Na przykład jedną z najbardziej nudyżących rzeczy jest tego typu spotkanie, nie mówię tu akurat o rozmowie z Panią, ale o przymusie bycia w oficjalnym miejscu czy na bankiecie, gdzie muszę słuchać nie zawsze szczerych gratulacji lub wypowiadać pseudo-mądre zdania,



które nie siedzą w mojej naturze. Męczy mnie bycie osobą publiczną, ciągle na afiszu, bo nie leży to w moim charakterze. Nie jestem bardzo otwarty, a najlepiej czuję się wśród najbliższych, jako że jestem „rodzinno-domowym zwierzęciem”, domatorem. Wprawdzie mało mam tego domu, bo zawsze brakuje mi czasu.

Obecnie boleję nad faktem, że mój pierwotny syn, Bartek, jest studentem szkoły teatralnej. Boleję nad tym dlatego, że aktorstwo jest ciężkim kawałkiem chleba i trudno zaistnieć w tym zawodzie; tylko najbardziej wytrwałym, nie zawsze najlepszym, do czegoś udaje się dojść. Ja niby nie posiadam umiejętności przepychania się, ale trochę sprytu muszę mieć, bo zaistniałem i jakoś utrzymuję się.

Proszę powiedzieć, jakie opinie dotyczące Pana aktorstwa ceni Pan sobie najbardziej? Czy potrafi Pan odróżnić kurtuazję od opinii szczerzej, płynącej z głębi serca? Czy stara się Pan analizować krytykę, z jaką się Pan spotyka i próbować wyciągnąć z niej jakieś wnioski?

Najbardziej dla mnie liczą się opinie środowiska. Widz powinien być najważniejszy, ale widz nie zawsze jest fachowy. Czasami robię rzeczy, których się przed sobą wstydzę, a widzem się to podoba. Na przykład, na czym polega kompleks aktora prowincjonalnego? Aktor prowincjonalny, w złym tego słowa znaczeniu, przez poziom publiczności z dobrego może stać się tzw. „szmirusem”, bo kiedy serwuje normalne środki aktorskie, szlachetne, to nie jest właściwie odbierany. W związku z tym stosuje środki mocniejsze, zaczyna grać pod publiczność i wtedy staje się aktorem prowincjonalnym, który robi wszystko żeby się tylko podobać. To jest pierwszy stopień do piekła. Także nie zawsze można polegać na ocenie widza, bo czasem widzowi podobają się takie rzeczy, które wręcz nie przeszłyby mi przez gardło.

Czy na scenie jest Pan sobą? To zależy w czym. Na pewno zaczyna się od siebie. Tajemnicą moich sukcesów jest to, że w tym, co robilem, starałem się być jak najprostszy, chwalać mnie za to, że jestem prawdziwy. Dopiero potem byłem jakąś postacią. Oczywiście

wieście w każdej roli jestem inny i staram się być różny w zależności od postawionego przede mną zadania.

Którą z ról wspomina Pan najlepiej, która została najlepiej odebrana przez publiczność?

Rola, która może nie została najlepiej odebrana przez publiczność, a którą cenili najbardziej, była rola Tadeusza Kasprzaka w filmie „Palec Boży” Antoniego Klauzgo. Oczywiście jednym z moich „słupów miłowych” była rola Winkla w „Człowieku z żelaza” Andrzeja Wajdy. Niedawno zagrałem u Janusza Zaorskiego w filmie pt. „Piłkarski poker”, co też uważam za pewne dokonanie, bo byłem tam inny.

Czy w dalszym ciągu Pan się odkrywa, szuka?

Gdybym tego nie robił, to przestałbym uprawiać ten zawód. Uważam, że być może jest to zbyt szumne pojęcie, że aktorstwo jest powołaniem, ale gdyby ten zawód nie pachniał tym nieco, to nie warto byłoby go uprawiać; byłaby to wtedy błazenada, komedianctwo, sprzedawanie się, okrywanie swojej duszy za pieniądze. Czasem ta świadomość jest dość bolesna.

Czy czasami po zagranu jakiejś roli czuje się Pan zubożony?

Zdarzają się takie momenty. Czasem nawet zubożam przeżycia intymne z osobą mi bliską, bo okazuje się komuś innemu na scenie. Pewien czas temu moja, wówczas bardzo młoda małżonka po obejrzeniu jednej ze scen zrobiła mi karczemną awanturę, że ją okradłem ze wszystkiego. Jest w tym trochę prawdy.

A współpracę z jakimi reżyserami ceni Pan sobie najbardziej?

Inaczej jest w teatrze, inaczej w filmie. Osobą, która mnie ulepiła aktorsko w filmie, był Kazimierz Kuc. W 1968 roku zagrałem w jego filmie pt. „Skok”, za którą to rolę dostałem nagrodę Cybulskiego. A co cenię u reżyserów? W tej chwili, chyba małą ingerencję w to, co robię. Mistrzem w tym jest Andrzej Wajda. On potrafi tak doskonale dobrać ekipę do sprzętacki, przez aktorów do sze-

fa produkcji, że właściwie jemu pozostaje tylko rola dyrygenta. On nie musi nikomu nic nakazywać, tylko lekko naprowadza, a czasem w ogóle wychodzi z planu i mówi: *róbcie sobie sami*, jeżeli tylko zaufa i zobaczy, że dany człowiek porusza się we właściwym kierunku. Najbardziej cenię sobie reżyserów — artystów, ludzi niepowtarzalnych, trochę szalonych, nie takich szkolnych, wypracowanych, którzy mają wszystko zanotowane i wyrysowane i cały czas prowadzą za rączkę, bo z tego nic nie wychodzi. A generalnie aktorstwo jest dla mnie jedną wielką przygodą, to jest to, co wspaniale określił Gustaw Holoubek, że aktor jest takim wiecznym dzieckiem, które bez przerwy się w coś bawi: w zbrodniarza, wspaniałego kochanka itp. ... Jeżeli ten entuzjazm się powoli z rutyną zatracca, traktując pracę jako taką ciepłą synekurę, zarabianie pieniędzy, to w zasadzie nie warto tego uprawiać.

Jakie plany na najbliższą przyszłość?

Niedługo w teatrze „Słomkowy kapeluszy”, sztuka podkasanej Muzy, lekko wodewilowa. W filmie — „Sauna” Filipa Bajona; jest to trochę jak w dowcipie: rzecz się dzieje w fińskiej saunie, gdzie co kilka lat spotyka się Rosjanin z Polakiem, Czechem, NRD-owcem, Amerykaninem i Finem, i toczy się między nimi rozmowa. Jest to taka komedia polityczna z gorzką puentą. Jak Pani widzi, pracy sporo.

Czyli nie narzeka Pan na brak pracy?

Na razie nie. Czasem muszę wręcz dokonywać selekcji. Jak byłem młody brałem wszystko, co popadnie. Może trochę popełniałem błąd, ale w tej chwili mogę już sobie pozwolić na luksus, żeby ktoś mi przysłał scenariusz i dopiero po przeczytaniu go decyduję, czy chcę daną rolę zagrać, czy nie, lub zgłaszam swoje zastrzeżenia.

Bardzo dziękuję za rozmowę i życząc dalszych sukcesów.

Dziękuję.